

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 12 grudnia 1914 roku.

Nr 50.

Wincenty Kosiakiewicz.

Najsilniejsze wrażenie w życiu Wilhelma Bohncke'go.

2

...Daleko było jeszcze do tej chwili, gdy wybuchnęła wielka wojna europejska.

Przyjął ją nie bez trwogi na myśl o kolosalnych ofiarach, jakich żądać ona będzie od ludzkości, nie bez niepokoju o los pięknej Francji, „sprzymierzonej zawsze ze wszystkimi słusznymi sprawami, ale, mając zgóry wyrobioną orientację, pewny, że niemiecka rozważa nie puściłaby na hazard losów narodu, przekonany, że niemiecka hegemonia będzie błogosławieństwem dla świata, zaprowadzając wszędzie wzorowy ład i pogłębiając charakter”. Przewaga pruska działać będzie wprawdzie nie bez szorstkości, snuł przewidywania, ale stanie się to lekarstwem na powszechne rozmięczenie, które jest jakby równią pochyłą do upadku obyczajów. Znadto wszyscy, nawet Wilhelma Bohncke'go nie wyłączając, żyjemy „w wacie”; kapral pruski o prostej myśli, prawem sercu i grzmiącym głose coś w takim świecie ma do roboty.

Uważał zresztą Bohncke, że paruset takich kapralów przydałoby się przedewszystkiem narodowi, na którego ziemi się urodził, wśród którego rósł, dojrzał i żył, z którym tyle razy, i bardzo serdecznie, się martwił, który znał tak dobrze, tak blisko, tak zażyłe, któremu nie umiałby w żaden sposób źle życzyć. Ileż razy myślał on: „Ach, dać temu narodowi odrobinę więcej ciężyzny, do tego, co on już ma!...” A myślał to z niecierpliwością serca, może przesadną nieco u dobrego Niemca.

Prędko przysły wieści z Kalisza. Rozgorączkowały one Wilhelma, tak zawsze spokojnego, dzięki swemu temperamentowi, równowa-

dze darów i filozofii życiowej. „Ależ to są plotki! Ależ to są kłamstwa!... przekonywał ludzi naokół. — To byłoby bezcelowe, to nie leży w charakterze Niemców! To jest nieprawdopodobne zgoła. To są umyślnie rozpuszczane kłamstwa, aby wyrobić w ludności sztucznie nienawiść do Niemców!...” Powtarzanie się tych wieści podnieciło go niezwykle. I kiedy pewnego wieczoru potrafiła o nie w rozmowie Zosia, krzyknął jej, po raz pierwszy w życiu: „Milcz! W tem niema słowa prawdy”. Ale tegoż wieczoru wstąpił w jego progi gość z Kalisza, własny agent Wilhelma, sprzedawca jego farb tkaczom nadprośniańskim. Trzeba było się poddać rzeczywistości. Wilhelm umilkł, z podwójną skruchą ucałował ręce żony na przeproszenie i stłumił w sobie ból, zadany mu opowiadaniem agenta.

Od tego wieczoru wyglądał on, niby człowiek raniony, który się swojej rany wstydzi. W milczeniu odczytywał telegramy poranne i wieczorne. Nie poruszał nigdy wojennych ani politycznych tematów. Na Jasia, który uporeczywie paplał o tych sprawach, a na kajetach szkolnych rysował coraz to nowe mapy Europy i rozwiązywał wszystkie bieżące zagadnienia strategiczne po swojemu, patrzył Wilhelm oczami, jakby szklanymi, jakby mgłą zaćmionymi, pozbawionymi wyrazu. Zosia zrozumiała go wpelni, właśnie po tem jego: „milcz!...” Wiedziała, że cierpi, że męczy się, okazywała mu przeto zdwojoną czułość i serdeczność, a wojna i polityka stały się dla niej rodzajem *tabu*, którego grzech dotykać. On nawzajem ją rozumiał; miał pełne serce wdzięczności dla niej; zrozumiał, iż nie popełnił omył-

ki, obierając sobie tę kobietę na towarzyszkę życia; i teraz dopiero pokochał ją palącym a szlachetnym ogniem. Widząc, że jest rozumiana, odważyła się wreszcie Zosia przemówić. Raz szepnęła: „Louvain”. Drugi raz „Reims”. Wilhelm za każdym razem odpowiedział cicho: „Tak, tak”. Za każdym razem jednak oczy jego, wypocząwszy od troski na poważnej twarzy Zosi, rozblękitniały się, jeżeli nie jasną pogodą, to przynajmniej dobroczynną ulgą. Nie przestawał czuć się Niemcem, i to dlatego tak cierpiał właśnie, że za swoją ojczyznę — samospowiewieraną. Choć rana była ciężka, znosił ją bez nadmiernych szarpań się, bo pod narkotykiem pierwszej prawdziwej i głębokiej miłości.

Wilhelm jeździł regularnie raz na miesiąc do Łodzi, na dzień, dwa, gdzie miał rodzinę, filię swego interesu, udział w fabryce firmy Wehrle, a przedewszystkiem grób ojca. Pojechał i tym razem, pomimo niepewnych komunikacji kolejowych z racji wojny, zdecydowany wrócić koniecznym wrócić koniem do domu. Jakoż tak mu i wypadło. Musiał wziąć wolant Edka Wehrlego i szosą spieszyć. Liczył, że, jako Niemca, przepuszczą go komendanci niemieccy przez linie wojsk. Omylił się jednak. Gdy przybył do Iksowa, Niemcy zabrali mu wolant i konie, samemu zaś kazali nie ruszać się z miasteczka. „Ależ ja jestem Niemiec”, zawołał Bohncke do oberlejtenta, który rekwirował mu konie. „Ach, tak,— odrzekł oberlejtent, — w takim razie sprawi to panu radość usłużyć swym zaprzęgiem armii niemieckiej”.

Poszedł Bohncke po miasteczku szukać przytułku, przy nieustannym grzmocie armat; na plebanie zaszedł, przedstawił swoje położenie proboszczowi, poprosił o kawałek dachu nad głową. „O dach mniejsza, bo ten u nas jest jeszcze cały, — odpowiedział proboszcz jowialnie i serdecznie. — Ale ze spaniem bieda. Niemcy urządziły tu lazaret; zabrali nam dla swoich rannych prawie

wszystkie poduszki i kołdry. Ale kanapą mogą służyć". Odpowiedział Bohncke: „Księżę dobrodzieju, na wojnie to więcej, niż potrzeba". Cztery dni korzystał z gościnności proboszcza, przysłuchując się strasznym hukom armatnim i przykrzejszym dlań od tego opowiadaniom mieszkańców o niemieckiej gospodarce w Polsce. Pewnego wieczoru, gdy kładł się do snu na proboszczowską kanapę i już nakrywał się paltem, w braku kołdry, posłyszał w sieni jakieś głosy, dziwnie, jak na trwożny czas, dźwięczne. Za chwilę wpadł proboszcz, napół rozebrany, z nowiną: „Niemcy wyszli!" Trochę mieszczan wyspało się do sali, każdy do powiedzenia mając jakiś szczegół. „Czy to aby prawda?"—wątpił ksiądz. Wreszcie zaproponował Bohnckemu: „Chodźmy sprawdzić do lazaretu!" „A chodźmy!" — zawołał ochotnie Bohncke, głosem tak pełnym nadziei, że gdyby zdolnym był w tej chwili do analizowania tego, co słyszy, nie poznałby się w tym dźwięku zupełnie. Ubrali się pospiesznie i wybiegli na miasteczko. Kilka gwiazd świeciło na wysokości; powietrze było przykre, zarazem wilgotne i ostre, przejmujące; panowała nieprzychylna człowiekowi noc jesienna. „Zły mają czas do ucieczki", — zauważył proboszcz. Przed budynkiem syndykatu rolniczego, zamienionego przez Niemców na lazaret, stał jakiś wysoki człowiek, w jednej marynarce, pomimo chłodu jesiennego, i jakieś polecenia wydawał gromadce ludzi. „O, to nasz doktor!" — zawołał proboszcz, witając się z nim. I zapytał: „Czy naprawdę Niemcy odeszli?" Doktor odrzekł: „Odeszli. Zostawili nam tylko ciężko rannych. Proszę ich zobaczyć". Wprowadził do sal szpitalnych księdza. Wilhelm poszedł za nim. Leżeli tu na łóżkach, na siennikach i na słomie, rozpostartej na podłodze, ludzie, w rozmaitych sposobach bandażami spowici i pozostawieni w jednej białiznie przeważnie, niektórzy tylko nakryci byli lekkimi mundurami albo szynelami; znaczna większość szynelów zostawiła, widać, na polu bitwy, a mundury na punkcie opatrunkowym. Wielu z nich jęczało, wielu drżało od zimna i trzęsło się na całym ciele. „Kalt, kalt", szło po tych pokojach, na składy przeznaczonych, nie mających pieców. Widok był okropny.

„A gdzież poduszki, gdzie kołdry?" zawołał proboszcz. „Przecież dwa tysiące ich wzięto od nas, na lazaret właśnie!" Odpowiedział doktor spokojnym, objaśniającym głosem człowieka, zbyt wyczerpanego, aby stać go było na gniew lub oburzenie: „Spakowali wszystko, co do jednej sztuki, na wozy swoje rzucili; wywieźli".

W jednym z kątów leżał na łóżku Niemiec ranny, widać ciężko bardzo, bo blade, jak ściana, i z ustami do czarności przez gorączkę spalo-

nemi. Okryty był jakimś cywilnym paltem. Ksiądz zwrócił nań uwagę. „To chory po operacji — wyjaśnił doktor. — Zeszli mu kiszki, poszarpane przez szrapnel, i porzucili nagiego, jednym tylko bandażem okrytego. Nakryłem go własnym paltem". Proboszcz patrzył na ten obraz, prawdziwie dantejski, nawpół obłąkanym wzrokiem, dygocąc z przeżalenia niemniej od tych porzuczonych nieszczęśliwców, którzy z zimna się trzęśli, i bezmyślnie przeczył temu, na co patrzył: „Niesposób... Niesposób". Doktor pociągnął go do sąsiedniej sali: „Jest jeszcze jeden taki. Kazałem ludziom przywieźć choć słomy". W drugiej sali leżał biedak, cały nagi, z piersią tylko przewiazaną grubo białymi szmatami. Zdjął czempredziej proboszcz długą swą jesionkę z pleców i okrył tę przeraźliwą, drżącą, jak poruszona galareta, nagość.

Wilhelm Bohncke snuł się za księdzem, jak senny, jak nie będący sobą, wodząc wokoło oczyma lunatyka, febrycznie jakoś poruszając bezdźwięcznymi ustami, niezdolny do żadnego słowa, do żadnej określonej myśli nawet, jakby moralny grom jakiś duszę jego sparaliżował.

Było to bezwarunkowo najsilniejsze wrażenie, jakie odniósł w życiu. Zdawało się, że nie widzi tego, na co patrzy, i nie pojmuje tego, co słyszy. Nie dał żadnej odpowiedzi na parę zwróconych do niego uwag i pytań proboszcza. I tylko kiedy opuścił to zimne piekło ludzkie, jęknął długo i boleśnie. Był to ostatni dźwięk, był to skon jego niemieckiej, uczciwej duszy.

...Wilhelm Bohncke wrócił do

domu dziwnie spokojny, szarmonizowany jakoś w sobie, i z humorem opowiadał rozmaite przygody swej podróży; poważnie, ale bardzo krótko i pobieżnie tylko, napomykał o scenie szpitalnej. Gdy już dobrze wypoczął po przygodach i wrażeniach wojny, pewnego wieczoru zwrócił się wesoło do syna: „Słuchajno, Bączki, poproś matkę, żeby nam coś z polskiej poezji przeczytała". Zosia podniosła na niego zadziwione oczy. „Chcesz poezji polskiej trochę?" — zapytała, niepewna, czy się nie przesłyszała. „Tak, coś pięknego..." potwierdził. Przyniosła „Ojca zadżumionych". Ale Wilhelm potrząsnął głową. „Nie, nie, coś prawdziwie, coś głęboko pięknego". Przez chwilę namyślała się, ciągle zadziwiona. I nagle jasność powstała w jej kochającej głowie. Odgadła, jakiej poezji pragnął dziś jej mąż; zrozumiała stan jego duszy, którą wstyd szlachetny kępuje i która chce naprawić mężnie błąd życia, ale pragnąc zaoszczędzić sobie upokorzenia wyznawanej skruchy. Otworzyła karty „Przedświtu". Poczęła czytać miękkim głosem:

„Zrazu jam ufał, że Bóg nieśmiertelny,
Na pyszne pyszny, ale wiernym wierny.
Zrazu jam ufał, że za dni niewiele
Zleca zesłane anioły - mściciele
I grób ten pęknie..."

Wilhelm dziękował jej wzrokiem, wdzięczności pełnym, za to, że go tak głęboko odczuwa, tak mistrzowsko rozumie. Szepnął w pierwszej pauzie: „O, to! to! czytaj... czytaj..."

Fryderyk Boutet. *)

Przekład z francuskiego
przez H. J. P.

PROFESOR.

NOWELA.

Od wczesnego ranka starowina żebrał przy kościele świętego Sulpicyusza.

Była to piękna, wiosenna niedziela, nasycona słońcem; dochodził przedstawił się pokaźnie. Staruszek dreptał niezmordowanie od przechodnia do przechodnia, od gromadki do gromadki. Czarny jego surdut, zrzucał i połatany, wyglądał, jak poemat nędzy; ale był czysty i przyzwoity; podarta koszula nie raziła brudem.

Żebrząc, zdejmował ruchem uprzejmym i pełnym godności zniszczony kapelusz, odsłaniając łysą czaszkę, przebłyskującą dziecięcą różowością poprzez sterczące kępki mleczno-białych włosów. Policzki

staruszka były okragłe i jędrne, a bezzębne usta uśmiechały się w okoleńiu równie białej brody. W obejściu miał coś poufnego lubo wysoce grzecznego zarazem; pokorny był i pewny siebie. Nie dać mu nic, zdawało się, czystym niepodobieństwem wobec niezachwianej ufności, z jaką oczekiwał na datkę; to też susy sypały się gęsto.

Po ostatniej „próżniackiej" mszy w południe staruszek zaprzestał pracować. Zmęczony i zadowolony, przeszedł placik, skapany w blaskach kwietniowego słońca, które łagodnie ogrzewało jego zgrzybiałe członki, i zapuścił się w boczną uliczkę. Tu wszedł do wcale przyzwoitej garkuchni. Właściciel, milczący olbrzym, o ziemistej cerze, powitał go z widocznym poważaniem. W garkuchni tej gromadziło się stowarzyszenie żebraków dzielnicy, którego staruszek był prezesem.

W tylnym, ciemnym pokoiku,

*) Fryderyk Boutet jest dziś jednym z najpoczytniejszych nowelistów francuskich. Przekład niniejszy dokonany został z upoważnienia, udzielonego tłumaczce na wszystkie prace tego wysoce utalentowanego autora.

podobnym do piwnicy, stary przebrał się w dostatny paltot, włożył czysty fular na szyję i porządny kapelusz. Poczem, zamieniwszy kilka słów z obecnymi kolegami, zjadł z wielkim apetytem śniadanie, złożone z ogromnego omlotu i smacznie przyrządzonej cielenicy główki, zakropiwszy to dobrą butelką wina. Wypił kawę, połknął kieliszek koniaku i, pokrzepiony znakomicie, wyszedł na spacer.

Autobus zawiózł go na plac Zgody. Wysiadł i podążył na Pola Eliżejskie. Pogoda była wciąż przepiękna; pękające na drzewach listeczki pieściły oko swą miękką zielonością. Staruszek, paląc cygaro, szedł z wolną w stronę placu Gwiazdy, zadowolony z życia.

— Proszę pana... niech się pan zlituje... Jestem pozbawiony pracy... mam czworo dzieci...

Odwrocił głowę. Jakiś obszarpany człowiek wyciągał do niego rękę. Mógł mieć około czterdziestu lat, wymizierowany i chudy, niegolony od tygodnia, w zatłuszczonej, wstrętnej czapce na rozczochranych włosach i w podartej kurtce na gołej piersi.

Głosem cichym i żalonym powtarzał natarczywie swoją prośbę:

— Niech się wielmożny pan zlituje... Jeść mi się chce... Nie śmiem żebrać... To poraz pierwszy... Gdyby nie moi malcy, rzuciłbym się do wody.

— Poraz pierwszy żebrzesz... To widać.

I staruszek przystanął, pełen pożałowania pogardy.

— Ale się do tego bierzesz!... No! Nie chcę ci źle życzyć, lecz jeżeli coś z kogo wydusisz, to będzie cud... A co gorsza, pierwszy przechodzący policjant weźmie cię do ła... Nie masz pojęcia o rzemiośle...

Tamten spoglądał na niego w osłupieniu.

— Prawdę mówię. Nie masz co na mnie tak wybaluszać oczu. Ja się na tem znam, jako, że to mój fach. Więc możemy trochę pogadać. Fuszer jesteś ostatni i kwita. Naprzód wstydzisz się, to widać. Nie umiesz podzielać na klienta, nie masz do tego drygu. Prosisz, a mówisz sobie, że ci odmówią, i ludzie to widzą i puszczają cię w trąbę. A przytem jesteś zbyt brudny. Zbyt nieszczęśliwy... Nie trzeba odstręczać ludzi i psuć im trawienia. Trzeba mieć taką minę, jakby się chciało powiedzieć: „Toć widzi pan, że jestem uczciwym człowiekiem. A taki elegancki pan nie shańbi się przecież, odmawiając mi parę susów”. Ty zaś wyglądasz, jak półtora nieszczęścia, jak uciekinier z Morgi. To może być dobre zimą, wieczorem, w jakimś zaułku, kiedy ciemno... Ale teraz!... w taką piękną pogodę!... Trzeba się do niej stosować... nie trzeba zasmucać spacerowiczów. Co u dyaska! Postaw się tylko na ich miejscu... Trzeba z nimi umię-



tnie... po ojcowsku... trzeba się uśmiechać... słyszysz?

— Nie mogę; jestem zbyt nieszczęśliwy! — jęknął biedak.

— Cicho bądź! Zawsze można, gdy trzeba... Tylko trochę wiary w siebie, no, i pomysłowości. To trudno... trzeba umieć zarobić na chleb. Bez pracy nie będzie kołaczy. Zrób z siebie jakiego kalekę, inaczej nie można... W twoim wieku człowiek umierający z głodu, to podejrzan. Albo też... trzeba się znać na rzemiośle, wiedzieć jak i co... i z kim, i kiedy...

Zawahał się i spojrzał znowu na biedaka z odcieniem litości.

— Co tam... miałem dziś dobry dzień... Zrobię coś dla ciebie. Pokażę ci... Dam ci, jakby to powiedzieć, lekcję... Poczekaj trochę.

Wszedł do pobliskiego szaletu i w chwilę potem ukazał się z powrotem.

— Potrzymaj mi cygaro — rzekł, podając je tamtemu.

I zaczął żebrać.

W rękę trzymał kapelusz; co do reszty, zdjął tylko fular, odsłaniając starą, pomarszczoną szyję, i rozpiął kamizelkę, by pokazać podartą koszulę; wydawał się jednak, jakby całkiem przeobrażony. Robił wrażenie ślepego, kaleki, paralityka, nie przestając być wesołym i przyjaźliwym. I wnet napełnił całą aleję swoją nędzą. Był tu, jakby u siebie, i wszędzie go było pełno. Chodził od przechodnia do przechodnia, bez arogancji i bez uniżoności, tak nieposzlakowany w każdym ruchu i w wyglądzie, że susy sypały się znowu, jak zrana, do kapelusza.

Rzec było można, że w jakiś wprost czarodziejski sposób wymuszała jałmużnę na najoporniejszych. Ludzie obojętni i niechętni, mający zgóry powzięte postanowienie trzy-

mania rąk w kieszeniach, tajali i sięgali po datek. Dwóch zaciętrzewionych amerykańców przerwało rozmowę, wyglądającą na sprzeczkę, by poszukać drobnych; jakaś strojna, młoda dama przystanąła i pracowicie wyłowiła portmonetkę z dna złotego woreczka; dzieci przybiegały, niosąc swoje grosiki, a jakiś stróż publicznego porządku z umysłu patrzył w drugą stronę, udając, że go nie spostrzegą.

Tamten zaś postępował zdaleka, zdjęty takim uwielbieniem, że nie spostrzegł, jak cygaro zgasło.

— No, i cóż? — rzekł staruszek, podszedłszy do niego po upływie jakiejś półgodziny. — Widziałeś? Zarobiłem trzy franki, jak obszył, kochanku, i powiedziałem sobie: basta!

Włożył kapelusz i zawiązał fular. Przeliczył pieniądze i z zadowoleniem włożył je do kieszeni.

— Widziałeś? — ciągnął dalej. — Tak trzeba pracować...

— Nie potrafię!

Biedak spoglądał był z pewną nadzieją na pieniądze, lecz nadzieja ta zgasła, gdy stary włożył pieniądze do kieszeni.

— Jestem, widocznie, za tępy, — dokończył z westchnieniem, — a przytem takim głodny!...

— Spróbuj, co, u licha! Uszy do góry, mówię ci... A ty stoisz, jak zbaraniały!... Czekaj, ja będę udawał klienta... Proś mnie... Ale nie z tą miną głodomora... Bądź grzeczny... staraj się. No, tylko prędko, bo mi się spieszy.

Zapałił znowu cygaro i szedł przed siebie, pełen godności, z rękoma w kieszeniach. Nędzarz uczynił wysiłek i przystąpił, ale nie szło mu widocznie. Z jakimś okropnym grymasem, który wykrzywił jego chudą twarz, wyciągnął kapelusz, jeszcze niezręcznie i wstydliwie, niż poprzednio.

— Psiakrew!... co za niedołęga! — zamruczał stary. — I czego ty się boisz, niedojdo? No, co tam! Masz tu bon na chleb dla zachęty.

Papierowy trójkącik wpadł do czapki. Nędzarz patrzył na niego z otwartą ustą.

— Dziękuję! — wybełkotał wreszcie.

Stary aż poczerwieniał z gniewu.

— Dziękujesz? Dziękujesz za bona na chleb? Przyjmujesz to? Nie nawymyślasz mi, jak się należy?... Kiedy ja tu trzy franki zarobiłem na twojem miejscu!... Tak dobrze, jak na twój rachunek?... Nie, tego zawiele... Mam ciebie dosyć. No, masz tu twoje trzy franki! Zapracowałem je dla ciebie... Ale zrobisz najlepiej, jeżeli pójdziesz się utopić, jakeś mówił. Z ciebie nic nigdy nie będzie! Ciepłe kluski jesteś, ot co!

Rozgniewany, cisnął do czapki, którą nędzarz wyciągał wciąż machinalnie, istny deszcz susów i, trzęsąc się z oburzenia, poszedł szybko w stronę świętego Sulpicyusza, gdyż zbliżała się już godzina, kiedy pobożni mieli wychodzić z niesporów.

Rozdział CII.

Po przeczytaniu tego listu pojęłam, że ta walka, którą uważałam za skończoną, zaczęła się dopiero.

Jurek wracał do domu z sercem przepelnionem miłością ku mnie, a moje własne serce biegło na jego spotkanie.

Miał zamiar wypłynąć w drugiej połowie sierpnia i zabrać mnie ze sobą.

I oto, pomimo moich religijnych obaw i wątpliwości, zaczęłam przeżywać, dlaczego nie miałabym z nim jechać? Co mnie mogło wstrzymywać? Jakaż zbrodnię popełniłam naprawdę? Za co miałam pokutować?

Kochałam Jurka i należałam do niego nazawsze. On udawał się na spełnienie wielkiego zadania, dobro ludzkości na celu mającego. Czyż nie mogłam towarzyszyć mu, jako jego pomocnica jedynie?

A jeżeli istotnie popełniłam występki, jeżeli istotnie przekroczyłam Boskie prawa, czyż to nie będzie również wielką pokutą i zadosyćuczynieniem?

W taki sposób serce moje walczyło z tym tajemniczym instynktem, który, wbrew wszelkim porządkom miłości, naprowadzał mnie wciąż na drogę wiary w niezłomność przykazania naszego Pana.

Tak: Ojciec Dan miał słuszną. Nie pozbędę się tego nigdy. Wielebna Matka miała także słuszną — inne kobiety mogły może zapomnieć, iż wykroczyły przeciwko prawu Bożemu, lecz ja nie potrafiłabym tego. Gdybym zaślubiła Jurka i pojechała z nim, myślałabym wciąż o moim fałszywym położeniu i to by mnie unieszczęśliwiło. A widok mojej niedoli unieszczęśliwiłby także Jurka, i to było najwyższą goryczą, jaką by mnie życie napoić mogło.

Więc cóż mi pozostawało? Jeżeli niepodobieństwem było dla mnie zagrzebać się w klasztorze, równie niepodobieństwem było żyć samej na świecie, zdala od Jurka.

Wcześniej czy później musieliśmy się połączyć; o tem wiedziałam dobrze. A dziecko, zamiast być zaporą, stałoby się tylko naturalnym łącznikiem pomiędzy nami.

Więc cóż pozostawało kobiecie w moim położeniu, wierzącej w przykazania Boże i nie chcącej się Mu sprzeciwić? Czyż wszystkie bramy życia mają być przed nią zamknięte? Czyż nie było dla niej żadnego wyjścia?

Z dniem każdym posępniejszym stawało się to pytanie; wreszcie zabłysło światło, a raczej nadzieja światła. Och! straszne to było narażenie, a jednak sprawiło mi taką ogromną ulgę!

Lękałam się prawie mówić o tem, tak słabe i niedostateczne będą słowa, jakimi próbowałabym opisać tę niezapomnianą zmianę.

Poznałam już wiele tajemnic życia kobiety; teraz miałam spotkać się z ostatnią, największą, najtragiczniejszą, a jednocześnie najmiłosierniejszą ze wszystkich.

Zapewne te wszystkie wzruszenia, jakie przeżywałam, oddziaływały zgubnie na moje zdrowie, gdyż w trzy dni po otrzymaniu listu Jurka rozchorowałam się poważnie.

Wstyd mi, doprawdy, rozpisywać się o moich dolegliwościach, ale jestem zmuszona. Napozór nic nie zdradzało, że jestem chora. Oczywiście miałam błyszczące, rumieńce na policzkach, ale ku wieczorowi dostawałam gorączki, która w nocy podnosiła się bardzo, utrudniając mi oddech; rano zaś następowało wielkie wyczerpanie.

Stary doktor Conrad, który odwiedzał mnie dwa razy na dzień, zaniepokoił się mocno. Wreszcie, po krótkim zbadaniu mnie, rzekł z pewnym pomieszaniem:

— Rądbym wezwać kolegę z Blackwater, by się z nim naradzić. Czy przyjmiesz go, moja droga?

Zgodziłam się na to, pod warunkiem, że jeżeli nowy doktor uzna mój stan za groźny, powie mi to bez ogródki.

Ojciec Jurka, acz niechętnie, przystał na to zastrzeżenie i posłano po owego doktora. Przyjechał nazajutrz wczesnym rankiem. Był to już starszy człowiek, i gdy spojrzał na mnie, jakiś cień przemknął po jego gładko wygolonej twarzy. Opanował się jednak natychmiast i, zbliżywszy się do łóżka, rzekł, ujmując rękę, którą do niego wyciągnęłam:

— Bądźmy dobrej myśli, mylady.

Aczkolwiek nie przywiązywałam żadnej wagi do mego utraconego tytułu, to jednak, że o nim pamiętał, sprawiło mi przyjemność.

Zabierając się do auskultacji, powiedział mi, że miał niegdyś córkę w moim wieku.

— Niegdyś? A gdzie jest teraz? — zapytałam.

— W niebie: umarła, jak święta, — odpowiedział.

Poczem zaczął mnie badać bardzo skrupulatnie (powracając wciąż do jednego miejsca), a gdy wreszcie podniósł twarz, wyraz jej był bardzo poważny.

— Moje dziecko, — rzekł — (i ta nazwa podobała mi się również) musiałaś bardzo szastać swoim zdrowiem.

Przyznałam, że tak było istotnie.

Obejrzał się, czy nie było kogo

więcej w pokoju (był tylko stary doktor, który stał w nogach łóżka, wpatrzony w swego kolegę) i rzekł zciśszonym głosem:

— Czy cierpiełaś kiedy niedostatek, w połączeniu z ciężką pracą i niewywczaśmem?

Jego wielkie, przenikliwe oczy zdawały się sięgać w głąb mojej duszy; nie mogłam więc skłamać, choćbym chciała, i opowiedziałam mu (bardzo pobieżnie) o moim życiu w Londynie, na Baywater, w East-Endzie i w Ilford.

— A czy przemokłaś kiedy, ale to bardzo, jak to mówią: do nitki, i czy to się powtarzało? — zapytał dalej.

Odpowiedziałam przecząco, lecz nagle, przypomniałszy sobie, że wkrótce po urodzeniu dziecka, kiedy nie mogłam sobie pozwolić na ogień, suszyłam jego pieluszki na cieple, zrozumiałam, że nie mogę tego zataić.

— Suszyłaś pieluszki dziecka na własnym cieple? — zapytał.

Tak, czasem. Tylko troszkę — odparłam, nieco zawstydzona, i lzy stanęły mi w oczach.

— A! — rzekł tylko obcy doktor; poczem, zwracając się do ojca Jurka, zauważył:

— Czego matki nie są w stanie uczynić dla swoich dzieci, Conradzie!

Doktor Conrad wpatrywał się wciąż z natężeniem w twarz kolegi, poczem, jakgdyby zapominając o mojej obecności, rzekł:

— Czy kolega sądzi, że ona bardzo chora?

— Pomówimy o tem w twoim gabinecie, kolego, — odparł obcy doktor.

Poczem zwrócił się do mnie, mówiąc, żebym leżała spokojnie i że wkrótce wróci, i obaj z ojcem Jurka zeszli na dół.

Niańka, która w ostatnich dniach przedzierzgnęła się w pielęgniarkę, weszła do pokoju. Zapytałam ją, kto jest na dole.

— Tylko Ojciec Dan, pani Conrad i — dziecko — odpowiedziała.

Doktorzy wrócili niebawem; na-przód obcy, ze sztucznie pogodnym wyrazem twarzy, a za nim ojciec Jurka przywlokł się ze zwieszoną głową, jak więzień, którego ciągną, by mu odczytać wyrok.

— Mylady, — rzekł obcy doktor, — jesteś pani dzielną kobietą, więc postanowiliśmy powiedzieć ci prawdę.

I powiedział mi ją.

Nie przelekłam się. Nie powiem, żebym się nie zmartwiła. Byłabym chciała pożyć trochę dłużej, zwłaszcza teraz, kiedy miłość i szczęście (wbrew przykazaniu Bożemu) były tak blisko.

Ale, och! jakąż mi to ulgę przyniosło! Było w tem coś nadnaturalnego, coś świętego. Zupełnie, jakgdyby Bóg sam zstąpił w to zmagatwane, błędne koło mojej doli, by mnie z niego wyprowadzić.

Nie lękałam się niczego. Nie lękałam się ani o siebie, ani o dziecko. Żał mi tylko było Jurka! On mnie tak kochał! Nie było dla niego innej kobiety na świecie.

Po pewnej chwili podziękowałam doktorom. Doktor Conrad był, jak zmiążdżony, i nic nie rzekł; ale jego kolega próbował pocieszyć mnie, mówiąc, że nie będę cierpieć i że moja choroba była z tych, które się nie uzewnętrzniają prawie.

Będąc kobietą nawskroś, ucieczyłam się tem i zapytałam, czy to długo potrwa? Odpowiedział mi, że nie, aczkolwiek wszystko jest w rękach Boga i nikt nic napewno powiedzieć nie może.

Rzekłam mu na to, że i to mnie cieszy, gdy z dołu doleciał mnie tłumiony płacz. Płakała matka Jurka, a Ojciec Dan uspokajał ją, jak umiał.

Wówczas kazałam poprosić ich do siebie, gdyż chcę im coś powiedzieć.

Po chwili przyszli. Matka Jurka, jak zawsze, schludna i czystutka, a Ojciec Dan w swojej zniszczonej sutannie; oboje bardzo zgnębieni, drogie, stare dzieci!

Wówczas powiedziałam im, co doktor zaopiniował, prosząc, by nikomu tego nie mówili, zwłaszcza Jurkowi.

— Ja mu sama powiem — rzekłam. — Przrzeknijcie mi to uroczyście.

Z trudnością, hamując łzy, przyrzekli.

— Mój chłopiec! Mój biedny chłopiec! Co on pocznie teraz? — wybełkotała matka Jurka.

A Ojciec Dan dodał, że matka moja wymogła na nim taką samą obietnicę, odnośnie do mnie, gdy byłam dzieckiem.

Następnie obcy doktor pocałował się żegnać.

— Zostawiam panią w dobrych rękach, lecz mimo to, musisz mi pani pozwolić, żebym cię znowu odwiedził — rzekł i dodał żartobliwie: Dosyć mają aniołów w niebie; spróbujemy zatrzymać jednego z nich na ziemi.

Było to piątego lipca, dzień narodowego święta w Ellanie, i nad wielu domami powiewały flagi.

Rozdział CIII.

6-go lipca. Takam dziś zdrowsza! Nie wiem, jaka zmiana fizyczna i duchowa zaszła we mnie od wczoraj, ale dawno nie czułam się tak dobrze z sercem, a sen, ten sen, który już miałam za stracone dobrodziejstwo, nawiedził mnie znowu. Spałam cztery godziny bez przerwy — cicho, spokojnie, jak dziecko.

8-go lipca. Jurek pisze, że spodziewa się wrócić dwunastego. List jego tchnie radością i otuchą. „Mam ci mnóstwo do opowiedzenia, najdroższa“. Dziwna rzecz! Nikt nie zdoła wyobrazić sobie, jak bardzo pragnęłabym go mieć znowu przy sobie, jak tęsknię za nim, a jednak

lękam się prawie jego powrotu. Wiem, co to znaczy. To ta rzecz, którą mu mam powiedzieć. Jak ja mu to powiem?

10-go lipca. Jeszcze dwa dni tylko, a Jurek przyjedzie. Oczywiście, muszę wstać na jego powitanie. Pielęgniarka mówi: „Nie“, ale ja mówię: „Tak“.

12-go lipca. Jurek wraca dzisiaj, a stary doktor poszedł (takim dumnym, sprężystym krokiem) na jego spotkanie do Blackwater. Jestem strasznie osłabiona (choć nie mi właściwie nie dolega), ale stanowczo wstanę przed wieczorem. Włożę białą suknię, którą Siostra Mildred dała mi w Londynie. Jurek najlepiej lubi mnie w biele.

Później. Mój Jurek wrócił! Obliczyliśmy, że, jadąc od przystani samochodem, będzie w domu na piątą; byłam więc już gotową na czwartą, i, zszedłszy na dół, usiadłam w fotelu przy oknie, by patrzeć na drogę. Ale gdy spóźnił się o pół godziny, obie z jego matką wpadłyśmy w stan takiego zdenerwowania, jakgdyby Bóg wie jaką katastrofą zawisła nad nami. A przecież powinniśmy się były domyśleć przyczyny. W Blackwater „chłopcy“ (ci sami, którzy go tak uroczyście żegnali) urządzili mu znowu owacyjne przyjęcie. A gdy dojechał do wsi, wysiadł i ścisnął się za ręce ze wszystkimi: i ze stolarzem, i z kowalem, i ze sklepikarką, tak, że mu to zajęło z jakiś kwadrans wśród ogólnych zachwytów nad jego „przyjacielskością“, i że „chłopak tak mi nic nie zdumiał“ i „jakim był, takim jest“.

Następnie popędził już całą siłą motora, którego dudnienie dosłyszałam na moście w porę, by z pomocą niańki znaleźć się przy furtce.

Och! Cóż to było za powitanie! Jaki długi, nieskończenie długi uścisk!

Dobrze to jednak, że mój Jurek jest taki silny, bo nie wiem, jakbym była doszła do domu z powrotem, gdyby mnie nie obejmowało jego stalowe ramię.

Doktor O'Sullivan przybył również, wesoły, jak szczygieł, a gdym skończyła z Jurkiem, ucałowałam i jego z kolei (mając w duszy tyle serdeczności do roszczenia), on zaś zaczerwienił się, jak sztubak, bełkocząc coś o świętym Patryku i świętym Tomaszu, i jak nie byłby nigdy uwierzył, gdyby mu powiedziano, że go coś podobnego spotka w życiu.

Jurek powiedział, że wyglądam bardzo dobrze, czemu on również pospieszył przytaknąć, dodając, że nie byłby nigdy uwierzył, gdyby mu powiedziano, że tak prędko przyjdę do siebie.

Pomimo tych zapewnień, jednak nie musiało być ze mną tak świetnie, bo natychmiast po herbacie stary doktor kazał mi iść do łóżka, na co zgodziłam się jedynie pod warunkiem, że drzwi na schody pozostaną otwarte, abym mogła słyszeć, co się będzie działo na dole.

A działy się bardzo wesołe rzeczy! Chyba połowa parafii zeszła się, aby „przypatrzeć się“ Jurkowi, jak wygląda po swojej inwestyturze, nie wyłączając Tommy Majtki, który powtarzał każdemu, że znał go „od bębna“ i zawsze wiedział, że „z niego będą ludzie“.

A stary doktor jak się pysznił swoim synem! Wciąż tylko „Sir Jerzy“, „Sir Jerzego“, „Sir Jerzemu“, aż mi na płacz się zbierało, słuchając tego. Wreszcie dano Jurkowi przyjść do słowa, on zaś zaczął opowiadać o swojej bytności w Windsorze. Matka zapytała go, czy się „nie bał“, nie będąc przyzwyczajony do królów, na co roześmiał się, wołając:

— Co, ja? Bać się? Człowieka? I to jeszcze tak siarczyście dobrego!

A potem dodał, że król go zapytał, czy się nie bał lodowców, na co odrzekł mu, że nie, i że w Londynie można ich napotkać w ciągu jednego dnia więcej (miał na myśli ludzi o lodowatych sercach), niż przez całe życie pod biegunem.

Musiałam roześmiać się na to, bo usłyszałam, jak rzekł:

— Cyt! Czy to Mary?

— A tak! biedactwo! — odpowiedziała smutnym głosem jego matka.

Ach! Cóż to był za precudny dzień! Ale wiem, czuję to, że nie zmruję oka przez całą noc. Jutro muszę mu powiedzieć.

13-go lipca. Chciałam powiedzieć dzisiaj Jurkowi, ale, doprawdy, nie mogłam.

Schodziłam na śniadanie, trzymając się z jednej strony poręczy, a z drugiej opierając się na ramieniu niańki, gdy ujrzałam najradośniejszy obrazek, jaki kiedykolwiek w życiu widziałam. Mała i Jurek przykucały naprzeciwko siebie na czworakach; on wołał ją, żeby szła do niego, a ona wyciągała główkę ku niemu, jak pisklę z gniazdką, przy czym oboje śmiali się w ten rozkoszny, Jurkowi właściwy sposób, przypominający gulgotanie wody, wylewanej z butelki.

Widok ten zatamował mi oddech w piersiach. A gdy Jurek, usadowiwszy mnie w fotelu, zaczął natychmiast opowiadać z radością o przygotowaniach do naszego odjazdu, jak mamy się pobrać za specjalnym indultem (sadowym) dziesiątego sierpnia (jeżeli mi ta data dogodna), jak potem miałam odpocząć przez dzień i dwunastego jechać do Londynu, jak tam znowu będę miała cztery dni odpoczynku, w trakcie których będzie można zaopatrzyć mnie w ciepłe ubranie, i jak wreszcie wypłyniemy szesnastego na „Orient“cie“, nie mogłam zdobyć się na odwagę powiedzieć mu, jaki nas nieunikniony los oczekuje.

Było to tchórzostwem z mojej strony, i, wcześniej lub później, przyjdzie mi za to zapłacić. Ale gdy w dalszym ciągu Jurek zaczął mówić o maleńkiej i zwrócił się do swo-

jej matki, prosząc ją, by się opiekowała „dziewuszką“, gdy mnie nie będzie, a ona (takim dziwnym głosem) odrzekła, iż zaopiekuje się dziewczuszką, gdy mnie nie będzie, pojęłam, że nie potrafię mu powiedzieć; umrę raczej, niż to uczynię.

Koniec końców, ułożyłam z rodzicami Jurka i Ojcem Danem, że zostawimy wszystko czasowi i własnym spostrzeżeniom Jurka i że żadne z nas nic mu nie powie.

Jaka jednak ze mnie zwodnica! Składałam to wszystko na karb mojej miłości dla Jurka. Boć to będzie przecież strasznym ciosem dla mego najdroższego biedaka; pokrzyżuje wszystkie jego plany, wpłynie może na odłożenie wyprawy, lub nawet uniemożliwi ją całkowicie. Niechże prawda ukazuje mu się powoli. I tak aż nadto prędko ją zobaczy. Nie bądźmy okrutni.

Kochani, najlepsi starszuszowie weszli w myśl moją. Ja mam udawać, że zgadzam się na wszystkie projekty Jurka, a oni mają słuchać, nic nie mówiąc.

15 lipca. Staję się poprostu wielką aktorką! Sama się zdumiewam, jak świetnie gram swoją rolę. Jurek powiedział mi dzisiaj, że rozmyślił się i nie zostawi mnie w Wellingtonie, lecz zabierze mnie aż do Zimowej Kwatery, gdyż w drodze do Windsoru spotkał znakomitego specjalistę chorób tego rodzaju, co moja (ciekawam, czy istotnie zdaje sobie z niej sprawę), który mu powiedział, że klimat podbiegunowy wprost czarodziejsko na mnie działa.

Takie wspaniałe słońce latem! Takie jędrne, suche, rzeźwiące powietrze zimą! Każde odetchnięcie wlewa nowe życie w piersi! A przytem taki miłutki domek, wygodny i przytulny! A ludzie, których przy mnie zostawi, no! ci poprostu uwielbiać mnie będą!

— Ach! to będzie cudnie! — zawołałam. — Co za przyjemność być panią domu, pełnego zdrowych, silnych, głodnych mężczyzn, którzy przyjdą na obiad zaśnieżeni od stóp do głów i zjedliby wszystko, co się tylko da zjeść.

Czasem czuję, że sama zaczynam wierzyć w to, co mówię, a wówczas widzę, że tamci (rodzice Jurka i Ojciec Dan) spuszczaają głowy i wymykają się z pokoju.

Gdybym tylko nie była tak bezsilna! Nic mnie nie boli. Tylko ta gorączka w nocy i to coraz większe wyczerpanie zrana.

16-go lipca. Trzymam się mężnie! Dziś siedziałam całą godzinę sama z Jurkiem w ogrodzie. Pogoda była prześliczna; niebo błękitne, a promienie słońca złocistymi centkami tańczyły u naszych stóp, wciskając się poprzez uploty dzikiego winna i powojów.

Już samo siedzenie obok mego najdroższego, w atmosferze jego wspaniałego zdrowia, wlewało jak-

by przypływ sił w moje żyły, każąc mi zapomnieć, że jestem słabem, wątłem stworzeniem, które lada podmuch wiatru zmieść może z powierzchni ziemi. Ale gdy słuchałam, jak mówił o swoich ideałach i celach, czułam, że się wznoszę na najwyższe duchowe szczyty.

Zawsze myślałam i myślę, że każdy eksplorator jest niemyim poetą. Ale Jurek nie był dzisiaj niemyim, gdy mówił o cyklonach czy antycyklonach, czy jak nazwać to, co niby czapka okrywa przestrzenie Północnego Bieguna i stanowi o takiej lub innej pogodzie większej części zamieszkałego świata.

— Odbierzemu Bogu Jego słowo i przekażemy je światu — mówił.

A potem (po raz pierwszy od swego powrotu) napomknął coś o trudnościach naszego położenia, mówiąc, jak to będzie wstrętnie schronić się w te wolne regiony zdala od cywilizowanego świata i jego zmurzałych praw, skuwających ludzką kość.

— Jeszcze tylko miesiąc dzieli nas od naszego wyjazdu, a wtedy, najdroższa, wyzdrowiejesz do tyła, żeby mózg puścić się w drogę.

— Tak, tak! mój ukochany, jeszcze tylko miesiąc, a wyzdrowieję — przytaknęłam mu z uśmiechem.

O! Mary O'Neill! Jak długo jeszcze potrafisz grać swoją rolę!

17 lipca. Jurek przywiózł z Londynu odbitki swojej nowej książki, i dziś doktor O'Sullivan i ja robiliśmy korektę; doktor czytał na głos, Jurek siedział, paląc fajeczkę, a ja, obłożona ze wszystkich stron poduszkami, czyniłam moje uwagi i poprawki.

Cóż to za prosty, naturalny a taki jasny i obrazowy styl! Może w nim być tysiące gramatycznych błędów i tyleż wykroczeń przeciwko składni, ale dla mnie one nie istniały. Wsłuchiwałam się całą duszą w opisy tych chwil, kiedy śmierć krążyła tak blisko, opisy, tamujące oddech w piersiach bezpośredniością swej przeżytej prawdy; to znów mimowolnie zdejmował mnie pusty śmiech, gdy Jurek z właściwą mu żartobliwością wspominał, jak łatali namioty kawałkami koszul, gdy przewrócona lampa wypaliła dziurę w płótnie.

Zasiedzieliśmy się nad temi korektami tak długo, że rosa już zaczęła padać, a wtedy Jurek zaniósł mnie do domu, bym sobie nie przemoczyła nóg, co przypomniało mi nasz pierwszy wieczór w zamku Raa, i nagle wybuchnęłam płaczem, ku niewysłowionemu przerażeniu Jurka i pocziwego doktora.

18-go lipca. Jaka flirciarka robi się ze mnie! Powziąwszy myśl, że doktor O'Sullivan podkochuje się we mnie trochę, skorzystałam z tego, by się z Jurkiem podrożyć.

Było to coś tak przemilego (po

tem wszystkim, co przeszłam) mieć na swoje usługi takich dwóch niepospolitych młodzieńców, bacznych na każde moje skinienie, że czysto po kobiecemu nie mogłam oprzeć się pokusie niewinnej kokieterii.

Więc też zanim wzięliśmy się do korekt, powiedziałam Jurkowi, że skoro zamierza pozostawić mnie w zimowym obozowisku, podczas gdy sam uda się dalej na Biegun, powinien pozwolić doktorowi O'Sullivan, by został także, aby się mną opiekować.

Tego tylko było potrzeba kochanemu doktorowi. Sponsował cały i zaczął wołać z zapalem:

— Na Świętego Patryka, to kapitalna myśl! Musisz mnie zostawić, komendancie! I będziesz się miał z pyszna...

Ale nie dokończył. Lekki cień przemknął po twarzy Jurka, ustępując wnet miejsca pogodnemu uśmieškowi; on zaś sam, mój Jur najdroższy, pochylił się nieco ku przodowi, mignęła jego zaciśnięta pięść i biedny doktor wyrzucił kozła wraz z ogrodowym krzeselkiem na trawnik.

Nie przyszło jednak do rozlewu krwi i wnet wszyscy, śmiejąc się, w najlepszych humorach, zabraliśmy się do roboty.

Nie mogę pisać dłużej. Pisałam zawsze w nocy, kiedy godzinami całemi nie mogłam zmrużyć oka; ale teraz jestem coraz słabszą, więc trzeba mi przestać, bo muszę zachować siły dla Jurka.

21-go lipca. Zdenerwowałam się dziś trochę z powodu dziennika, który nadesłano mi bezimiennie z Paryża, z zakreślonym czerwonym ołówkiem artykułem:

„Z wielkiego świata. Matżeństwo angielskiego para i amerykańskiej herytiery“.

A więc mego męża i Almy! Ślub odbył się w angielskiej ambasadzie, wobec świetnego grona gości. Po ich wymienieniu następował długi opis wspaniałej toalety oblubienicy i przepysznych, ślubnych podarunków pana młodego. Nowożeńcy zajęli apartament na Polach Elizejskich i zamierzają przepędzić większą część roku w Paryżu.

Poco zaprzatać sobie głowę sprawą, która tak mało może mnie obchodzić? Alma jest jeszcze piękną, otoczy ją tłum wielbicieli, a na jej salonach tłoczyć się będzie cała modna, nowoczesna europejsko-amerykańska kolonia.

Co się tyczy mego męża, to słomiany ogień namietności jego obecnej żony dla niego wygaśnie prędko, zwłaszcza teraz, gdy posiada, czego pragnęła: nazwisko jego i tytuł.

* * *

Jurek zaniósł mnie dzisiaj wieczorem na górę do łóżka. Byłam bardziej osłabioną, niż zwykle, niemniej pochod ten odbył się wesoło.

niemal humorystycznie. Otwierała go pielęgniarka, obładowana poduszkami, potem szedł Jurek, niosąc mnie w objęciach, a wreszcie do-
któr O'Sullivan z dwoma wysokimi, mosiężnymi lichtarzami w obu rękach.

Jakżeśmy się śmieli! Śmieliśmy się wszyscy na cały głos, jakgdyby rywalizując pomiędzy sobą o to, kto się będzie śmiał najgłośniej; tylko matka Jurka stała w milczeniu z poważną twarzą u stóp schodów z maleńką na rękach.

Jest już trzecia w nocy, kiedy to piszę i jeszcze wciąż słyszę nasz śmiech. Lecz teraz dźwięczy mi on, jak łkanie.

Rozdział CV.

25 lipca. Stary doktor przyniósł mi dziś taką smutną i przerażającą wiadomość. Mój biedny ojciec umarł — umarł wczoraj, bezpośrednio po operacji, którą zbyt długo odkładał, nie wierząc, żeby była potrzebna.

Zachowano ten straszny wypadek w tajemnicy, nietylko przedemną, ale przed wszystkimi, z obawy jakichś prawnych zatargów, będących wynikiem różnych bankructw, które całą wyspę doprowadziły do ruiny.

Pochowano go dziś, prawie przed świtem, na żądanie biskupa, który chciał zdążyć na ranny parowiec, by udać się potem wprost do Rzymu.

Na skutek tych dziwnych zarządzeń i tajemniczości, jaką otaczał się mój ojciec w ostatnich czasach, powstała plotka, że nie umarł wcale, lecz, że, aby uniknąć prześladowań i odpowiedzialności, wyjechał wraz z biskupem w przebraniu, i że w trumnie, którą spuszczone do grobu, nie było żadnego ciała, tylko kamienie i piasek.

— Ale to nieprawda — rzekł mi stary doktor. — Ojciec twój umarł naprawdę i naprawdę go pochowano; a ten ktoś, który odjechał z biskupem, to był londyński chirurg, sprowadzony na operację.

Trudno mi uwierzyć, że ten stłowy człowiek, od którego ciężkich stapań trząsł się dom cały — nie żyje.

Umarł, jak żył. Do ostatka nieugięty, panujący nad sobą i nad innymi, chłop, a jednak wielki człowiek (jeżeli mierzyć wielkość siłą) i w swoim życiowym zakresie mający coś z tragizmu pewnych historycznych postaci.

Spędziłam cały dzień w głębokim, gorzkim strapieniu. Od najwcześniejszego mego dzieciństwa jakiś cień leżał pomiędzy moim ojcem a mną. Czy też chciał mnie widzieć przed śmiercią? Może i chciał; ale nie dopuściła do tego Nessy Mac Lead, która rozpowiada, że umarł ze zgrzyoty i wstydu nad moim postępowaniem.

Ludzie powiedzą o nim, że był pospolitym parweniuszem, dorobkiewiczem, snobem i Bóg wie czym jeszcze, ale to fałsz. Aby naprawdę

zrozumieć jego charakter, trzeba sięgnąć do dnia, kiedy był małym, obdartym chłopakiem i kiedy uliberyonowany stangret lorda Ra'a ścigał batem jego matkę na gościcu, a on jej przysiągł, że gdy dorośnie, sprawi jej powóz i wtedy nikt nie ośmieli się podnieść na nią ręki.

Mój biedny ojciec! Złe postąpił, że posłużył się cudzem życiem i cudzą duszą, aby nasycić swoją dumę i zemstę. Ale Bogu wiadomo, jak tam z nim będzie i jeżeli był pierwszą przyczyną wszystkich powikłań mego życia, przebaczam mu to z głębi duszy.

26-go lipca. Zaczynam się przekonywać, że to nie było egzaltacją z mojej strony lękać się, iż wszystkie plany Jurka rozbijają się, jeśli ja mu zrobię zawód. Biedny chłopiec, mówił wciąż tak, jakgdyby wszystko zależało odemnie. Strach pomyśleć, co by się stało z wyprawą, gdyby przypuszczał, że ja z nim nie będę mogła popłynąć szesnastego.

Jurek nie jest jednym z tych mężczyzn, którzy rozpaczają po stracie żon, jakgdyby świat się zapadł, a potem żenią się po raz drugi, nim jeszcze groby ich trawą porosną. Raz więc wszedłszy na drogę udawania, że mi jest lepiej z każdym dniem i że na termin będę gotowa, nie mogę się z niej cofnąć.

Chwilami jednak zdaje mi się, że nie jestem tak nadzwyczajną aktorką. Czasem w najświetniejszych momentach mojej roli spostrzegam jego wzrok utkwiony we mnie z badawczym niepokojem, i muszę spuszczać oczy, żeby się nie zdradzić.

Dziś na przykład (choć postanowiłam nie poddawać się nigdy wzruszeniu) nie mogłam wytrzymać i gdy zaczął się rozplýwać nad tem, jak taka podróż mnie pokrzepi, a powietrze podbiegunowe „dokona cudów“, łzy napłynęły mi do oczu.

— Ach! to będzie cudownie! — wykrzyknęłam. — Tak się cieszę!

— Więc czemu płaczesz? — zapytał.

— To ze szczęścia — odpowiedziałam.

Ale jeżeli rzucam piaskiem w oczy Jurkowi, to zdaje mi się, że nie wprowadzam w błąd nikogo więcej. Dziś, gdy obaj z doktorem O'Sullivanem poszli do oberży, usłyszałam, jak Ojciec Dan mówił do jego matki z ciężkim westchnieniem:

— Ach! mój Boże! Czemże jest życie! Mgłą, która zjawia się na chwilę i wnet znika.

27-go lipca. Muszę wytrwać do końca, muszę, muszę! Myśl, że nadzieje i marzenia Jurka uległyby teraz rozbiciu, jest dla mnie czemś gorszym od śmierci.

Może się mylę, ale mam wrażenie, że najsilniejszą podniętą dla wielu eksploratorów jest sława dokonanego odkrycia, i że gdy raz im się coś udało, poprzestają na tem, radzi, że mają opowiadać o czem do końca

ca życia. Jurek, to zupełnie co innego. Dla niego eksplorowanie, to namiętność, cel i oś egzystencji. Od dzieciństwa „nieznana dal“ ciągnęła go nieprzeparcie i ciągnąć go będzie do końca. Nie umiem wyobrazić go sobie umierającego w łóżku i złożonego na wieczny spoczynek w ziemi ojczystej, co jest pragnieniem takich natur naprzykład, jak moja. Zdać mi się, że ta bohaterska, nieokielzna dusza pójdzie do Boga z pośród białych bezkresów burzliwego Południa, pozostawiając ciało jego pod zaspą śniegu, podczas gdy wiatry będą wyły rekwiem nad jego głową. Miałoby być moje biedne, wątłe serce stanąć pomiędzy nim a takim zaszczytnym końcem? Nigdy! Nigdy!

A moralna nauka stąd? Niech sobie pielęgniarka mówi, co zechce, a ja będę codziennie wstawać z łóżka, jak dotąd.

28-go lipca. Dziś po południu usypiałam maleńką, gdy matka Jurka, przedząc przy ogniu, opowiedziała mi o wielkiej kłótni pomiędzy ciotką Brygidą a Nessy Mac Lead.

Pokazuje się, że Nessy (która opowiada, że ojciec mój wziął z nią ślub przed samą operacją) rości sobie prawa do wszystkiego, co po nim pozostało, nie wyłączając Wielkiego Domu, i posłała ciotce Brygidzie urzędowe wezwanie, aby się niezwłocznie wyprowadziła.

Biedna ciotka Brygida! Jakież żałosny koniec jej wszystkich zabiegów, jej długoletnich niegodziwości względem tej słodkiej męczennicy-matki mojej najdroższej, jej okrutnego postępowania ze mną. Oto własna pasierbica wyrzuca ją na bruk!

29-go lipca. Skończyliśmy dzisiaj korekty i doktor O'Sullivan pojechał z niemi do Londynu. Wyglądał trochę niewyraźnie, gdy przyszedł pożegnać się ze mną, i choć nadrabiał miną, zaklinając się, swoim zwyczajem, na różnych Świętych, głos mu drżał, gdy mówił, że „na dziesiątego wróci ze wszystkimi chłopcami, nie wyłączając Treadde'a“.

Oczywiście, że to były tylko żarty o tem podkochiwaniu się we mnie. Ale, swoją drogą, jestem pewna, że on mnie kocha po bratersku, jak wiele, wiele osób mnie kocha. Nie wiem, doprawdy, czem zasłużyłam sobie na tyle miłości. Gdy teraz o tem myślę, widzę, że szłam przez życie kochana — bardzo kochana!

Pracowaliśmy bardzo gorliwie nad ostatnimi korektami i zapewne to mnie musiało zmęczyć, bo gdy Jurek zanosił mnie wieczorem na górę, mniej było śmiechu, niż zwykle, i mój najdroższy chłopiec miał dziwnie zatroskaną twarz, gdy mnie sadzał przy łóżku.

Podżartowywałam sobie z jego karawaniarskiej miny, ale koło północy prawda stanęła mi jasno przed oczyma: Chudnę i stoję się z dniem każdym lżejszą, a on to zauważył. Moralna nauka — muszę próbować chodzić sama na górę!

DCN.

„Nasz Dom”

Pismo ilustrowane poświęcone sprawom kobiecym.

pod kierunkiem literackim L. KOTARBIŃSKIEJ.

Wojna targa równowagę całego świata.

Organizując więc dalszą naszą działalność w tej wyjątkowo ciężkiej dobie, nie możemy dawać wielkich obietnic na przyszłość, ani rysować planów, które tak snadnie zmienić mogą wypadki dnia czasem godziny.

Możemy natomiast twierdzić, że nie ustaniemy nigdy w pracy, około DOBRA DOMU POLSKIEGO I POLSKIEJ RODZINY.

Skupimy wszystkie siły, aby dobrymi i dokładnymi informacjami przyczynić się do ułatwienia ciężkich zabiegów, około odbudowy ruin i zgłiszczy.

W miarę sił i możliwości, a zawsze z najlepszą wolą, pomagając będziemy wszystkim poczynaniom zmierzającym do ulżenia nędzy odbudowania siedzib, wznowienia życia i pracy w polskich ogniskach.

Ku tym jedynie celom, musi się dziś kierować cała nasza działalność.

Ponieważ rozumiemy w całej pełni, doniosłość drukowanego słowa, najpilniejszym staraniem naszej pracy będzie, aby każdy wyraz zmierzał ku pożytkowi naszych Czytelniczek. Ale jednocześnie dążyć będziemy i do tego, aby na łamach pisma znalazły one nie tylko rozrywkę, pokarm duchowy i praktyczne wskazówki, ale aby czerpały z treści pismę otuchą i pokrzepienie, aby ono było istotnie odbiciem tych wszystkich najlepszych pragnień, które składają się na podniesienie dobra rodziny i wiążą się z wysoko pojętą treścią tytułu pisma: NASZ DOM.

Nasz Dom, po ukończeniu powieści „MATKI”, Emmy Jeleńskiej Dmochowskiej, ma zapewnioną powieść pełnego talentu publicysty, autora licznych nowel i powieści, GUSTAWA OLECHOWSKIEGO.

Nasz Dom, posiada w tece NOWELLE ORYGINALNE NAJPOCZYTNIEJSZYCH AUTORÓW: Maryi Rodziewiczówny, Wiktora Gomułickiego, Hajoty, Macieja Wierzbńskiego, Eugenii Żmijewskiej, Cecylii Walewskiej, Hanny Straszewiczówny, oraz PRZEKŁADY WYBITNYCH POWIEŚCI I NOWELL w tłumaczeniu najlepszych piór literackich, dbając równie o wybór treści jak i o formę.

Nasz Dom dołoży w tym roku klęsk i wielkich przeobrażeń szczególny nacisk na ARTYKUŁY SPOŁECZNE, W KTÓRYCH PODNOSIĆ BĘDZIEMY NAJDONIOŚLEJSZE PALĄCE ZAGADNIENIA NASZEGO CZASU.

ARTYKUŁY LITERACKIE, SZKICE I SPRAWOZDANIA KRYTYCZNE I ARTYSTYCZNE, oraz ARTYKUŁY POPULARYZUJĄCE WIEDZĘ PRZYRODNICZĄ, najnowsze odkrycia i wynalazki dopełnią część literacką, której liczne szpalty poświęca NASZ DOM.

Nasz Dom, prowadzi następujące stałe rubryki najbezpośredniej związane z pożytkiem i potrzebami DOMU POLSKIEGO.

Dział pracy społecznej, w którym ze szczególną starannością podawane będą wszelkie informacje ściśle i dokładnie.

Dział gospodarstwa wiejskiego i miejskiego, BĘDZIE PROWADZONY Z CAŁĄ SYSTEMATYCZNOŚCIĄ.

DZIAŁ KONSERW, KONFITUR, ZAPASÓW SPIŻARNIOWYCH PODAWAĆ BĘDZIEMY w odnośnych sezonach.

Dział ogrodniczy rozwinie w tym roku szerzej. Tyle sadów zniszczonych jest w kraju, że INFORMACJE PRAKTYCZNE dla najszybszych w tej dziedzinie zbawczych zabiegów uważamy za niezbędne.

DZIAŁ WSKAZÓWEK PRAKTYCZNYCH I RACJONALNEJ KOSMETYKI jak zawsze znajdzie miejsce, na szpaltach pisma.

Skrzynka do listów okazała się dobrym pośrednikiem między Czytelniczkami—w tym roku musi się stać stałym porozumieniem w tysiącnych sprawach związanych z gospodarką wewnętrzną domów polskich.

Dział ubrań kobiecych i dzieciennych z naciskiem na skromność i oszczędność w wydatkach na ten cel prowadzić będziemy z całą starannością, uwzględniając:

UBRANIA DO PRAC ZAWODOWYCH, ORAZ UBRANIA SPORTOWE.

TABLICE Z KROJAMI, jako stały dodatek, dawać będziemy z chwilą powrotu normalnej komunikacji z Parążem.

FORMY WEDŁUG MIARY, za niewielką opłatą dostarcza nam szkoła kroju p. Heleny Gałęckiej mistrzyni cechu krawieckiego.

UBRANIA DLA PANIENEK, DZIECI, BIELIZNĘ I WYPRAWKI DLA NIEMOWLĄT, dajemy ułożone starannie i praktycznie.

Szczególną zaś opieką otoczmy i nadal.

Dział robót ręcznych.

Nasze premium na rok 1915.

PODOBNI JAK W ROKU ZESZŁYM, wszystkie prenumeratorki nasze, zarówno roczne, jak i półroczne OTRZYMAJĄ KALENDARZ zawierający 400 ilustracji z tekstem, pisany przez pierwszorzędną siły literackie

Prenumerata NASZEGO DOMU wynosi: w Warszawie: Kwartalnie rb. 1 kop. 25, rocznie rb. 5. Za odnośnienie do domu kop. 10. Zmiana adresu kop. 15. Z przesyłką pocztową: kwartalnie 1 rb. 50 k., rocznie rb. 6. We wszystkich państwach związku pocztowego kwartalnie rb. 1 k. 60.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: WARSZAWA, ZGODA № 1.

Wydawnictwa rok LV.

Prospekt na rok 1915.

„Przyjaciel Młodzieży”

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Miłość Boga i Ojczyzny, gruntowna wiedza, hart ducha, silna wola, praca i wytrwałość, — oto hasła przy których zawsze stał i stać będzie „Przyjaciel Młodzieży”, wierząc, że młodzież, to przyszłość naszego narodu.

Pomagać rodzicom i wychowawcom w wielkiem dziele wychowania na pożytek ogółu, było i będzie naszym przewodniem zadaniem. Pragniemy, aby „Przyjaciel Młodzieży” był najgorliwszym doradcą i towarzyszem młodzieży.

Tem pragnieniem ożywiona redakcja „Przyjaciela Młodzieży” przygotowała na rok 1915 obfity i doborowy materiał literacki.

Stałe działy „PRZYJACIELA MŁODZIEŻY” obejmować będą:

ŻYCIORYSY

najślawniejszych mężów, zarówno polskich, jak obcych — wzory życia, pracy i zasług, godne naśladownictwa, pióra zasłużonego pisarza, p. STEFANA GĘBARSKIEGO.

OPOWIADANIA HISTORYCZNE

ze szczególnem uwzględnieniem dziejów ojczy-
stych.

Artykuły, poświęcone PRZYRODZIE, NOWYM WYNAŁAZKOM I ODKRYCIOM, oraz cudom nowoczesnej techniki. Wybitni uczeni i pisarze polscy, którzy podjęli się tego zadania (prof. DYAKOWSKI, CIEMBRONIEWICZ, W. UMIŃSKI i inni), nie tylko będą kształcić zmysł obserwacyjny młodzieży, lecz również będą dawać wskazówki praktyczne, jak np. tworzyć zbiory przyrodnicze.

Prenumerata „PRZYJACIELA MŁODZIEŻY” wynosi w WARSZAWIE rocznie 4 rb., półrocznie 2 rb., kwart. 1 rb. (Za odnoszenie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie). NA PROWINCYI I W CESARSTWIE: rocznie 5 rb., półrocznie 2 rb. 50 kop., kwartalnie 1 rb. 25 kop.

Prenumeratory „PRZYJACIELA MŁODZIEŻY” pragnący otrzymać jednocześnie i pismo dla dzieci „PRZYJACIEL DZIECI” opłacają ZA OBA TE PISMA TYLKO 5 RB. ROCZNIE (zamiast 6 rb.) w Warszawie, a na prowincyi tylko 6 rb. (zamiast 8 rb.).

SPRAWY SPOŁECZNE

traktowane będą tak, aby oddziaływać na młodzież w kierunku uobywatelniającym.

DZIAŁ SPORTOWY,

szczególną zostanie otoczony opieką. Stara zasada „w zdrowem ciele — zdrowy duch” jeszcze ciągle za mało jest szanowana i za mało stosowana w naszym kraju. Tem więcej zatem i tem częściej pisać należy o sportach, grach i zabawach ruchowych. Narodził się zagranicą nowy ruch odrodzenia młodzieży, stanęły do apelu zastępy skautów. I w Polsce prąd ten zatacza już kręgi. Więc SKAUCI POLSCY znajdują w „PRZYJACIELU” osobną kartę dla siebie, znajdują potrzebne wskazówki, znajdują wiadomości o życiu swych towarzyszy za granicą.

GAZETA TYGODNIOWA

powiadamiać będzie czytelników „PRZYJACIELA MŁODZIEŻY” o najważniejszych wypadkach, jakie wydarzyły się w naszym kraju i na szerokim świecie.

ROZRYWKI ARYTMETYCZNE I PRZY-
RODNICZE.

KONKURSY Z CENNEMI NAGRODAMI I ANKIETY, mające na celu szlachetne współzawodnictwo.

Po ukończeniu fantastycznej powieści „CZARODZIEJSKI OKRĘT” (nowi prenumeratorzy otrzymają dokładne streszczenie wydrukowanej już całości) rozpoczynamy druk nowej, oryginalnej powieści WŁADYSŁAWA UMIŃSKIEGO osnutej na tle toczącej się obecnej wojny narodów.

„Biblioteka dla młodzieży” wydawnictwo miesięczne, drukuje najwybitniejsze utwory powieściowe dla młodzieży, polskich i obcych pisarzy.

W roku 1915 drukować będzie między innemi:

W. Umińskiego: NA BEZLUDNEJ WYSPIE, E. Jezińskiego: POD OBCĄ BANDERĄ, S. Gębarskiego: KSIĄŻĘ LITEWSKI, w oprac. E. Lenartowskiej: KRUZOE I JEGO PIES, oraz DZIWNE PRZYGODY GORDONA PYMA w oprac. S. Sierosławskiego i wiele innych.

„BIBLIOTEKA” daje co miesiąc tom powieści w eleganckiej płóciennnej oprawie.

Prenumeratory „PRZYJACIELA DZIECI”, mogą otrzymywać „BIBLIOTEKĘ” za dopłatą 45 kop. kwart. (1.80 rocznie).

Adres redakcyi i admin. „PRZYJACIELA DZIECI” i „BIBLIOTEKI DLA MŁODZIEŻY”: WARSZAWA, ul. ZGODA № 1.

Wydawnictwa rok LV.

Prospekt na rok 1915.

„Przyjaciel Dzieci”

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

dla dzieci od lat 4 do 10-ciu.

PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY już rok pracujemy, razem z rodzicami, nad kształceniem dusz najmłodszego pokolenia.

Stworzyliśmy pismo, specjalnie przeznaczone dla dzieci, które dopiero nabyły pierwszych początków nauki. To nad wyraz trudne i odpowiedzialne zadanie powierzyliśmy pedagogom, którzy łączą w równej mierze zapał i doświadczenie.

„PRZYJACIEL DZIECI” powinien być w każdym domu polskim, w którym rodzice dbają o normalny i ciągły rozwój swoich dzieci. „PRZYJACIEL DZIECI” bawi, kształci, prostuje błędy i leczy z wad. Robi to z uśmiechem zawsze. Dlatego dzieci go kochają. Jest on prawdziwym PRZYJACIELEM, wiernym i użytecznym.

W roku 1915 dawać będziemy:

NOWE UCIESZNE PRZYGODY GAPCI KROPECZKI.

OPOWIADANIA Z HISTORII POLSKIEJ.

KRÓTKIE POGADANKI PRZYRODNICZE I KRAJOZNAWCZE.

„CIEKAWE WIADOMOŚCI” z życia i dziedziny nauki w odpowiednio przystępnej formie.

OBRAZKI Z ŻYCIA DZIECI. Scenki teatralne z rolami dla dzieci. Komedijki krótkie obyczajowe i z dziedziny fantazyi.

Szczególnie dbamy o wesołe rzeczy. Każdy numer „PRZYJACIELA DZIECI” przynosi do domu wiele śmiechu i uciechy. Dowcipy Wojtusia, przygody Gapci bawią szczerze i serdecznie małych czytelników.

Dział osobny, DLA NAJMŁODSZYCH, najprzystępniejszy, drukujemy większymi literami.

DZIAŁ ILUSTRACYJNY jako niezmiernie ważny w piśmie dzieci, „PRZYJACIEL DZIECI” otacza szczególną starannością. W każdym numerze obrazki są bardzo liczne i artystycznie wykonane.

W każdym numerze dajemy szarady, zagadki, łamigłówki, rebusy.

Pismo nasze, nie chcąc przeciążyć pamięci dzieci licznymi ciągami, daje w każdym numerze szereg prac drobnych — nicią wiążącą poszczególne numery jest zawsze jedna dłuższa powieść.

W roku 1915 drukować będziemy powieść: „GAŁGANECZKA” dzieje lalki z gałganków opisane przez małą jej wychowawczynię. Jest to znakomity utwór francuski, do polskich stosunków dostosowany, serdecznym uczuciem przepełniony i opisany z wyjątkowo głębokim zrozumieniem smutków, radości i dążeń duszy dziecięcej.

Kierowniczką „PRZYJACIELA DZIECI” jest JANINA PORAZIŃSKA.

Prenumerata „PRZYJACIELA DZIECI” wynosi: w Warszawie ROCZNIE 2 RUBLE (za odnośnienie do domu 10 k. kwartalnie), na prowincyi ROCZNIE 3 RUBLE.

Prenumeratory „PRZYJACIELA DZIECI”, pragnący otrzymać jednocześnie i pismo dla młodzieży „PRZYJACIELA MŁODZIEŻY”, opłacają ZA OBA TE PISMA TYLKO 5 RUBLI ROCZNIE (zamiast 6 rubli) w Warszawie, a na prowincyi tylko 6 rubli (zamiast 8 rubli).

„Biblioteka dla Młodzieży”

wydawnictwo miesięczne, drukuje najwybitniejsze utwory powieściowe dla młodzieży, polskich i obcych pisarzy.

W roku 1915 drukować będzie między innymi:

W. Umińskiego: NA BEZLUDNEJ WYSPIE, E. Jezierskiego: POD OBCĄ BANDERĄ, S. Gębarskiego: KSIĄŻĘ LITEWSKI, w oprac. E. Lenartowskiej: KRUZOE I JEGO PIES, oraz DZIWNE PRZYGODY GORDONA PYMA w oprac. S. Sierosławskiego i wiele innych.

„BIBLIOTEKA” daje co miesiąc tom powieści w eleganckiej płóciennej oprawie.

Prenumeratory „PRZYJACIELA DZIECI” i „PRZYJACIELA MŁODZIEŻY” otrzymywać „BIBLIOTEKĘ” za dopłatą 45 kop. kwart. (1.80 rocznie).

Adres redakcyi i admin. „PRZYJACIELA DZIECI” i „BIBLIOTEKI DLA MŁODZIEŻY”: WARSZAWA, ul. ZGODA № 1.